

Alfie Kohn

*Prowokacyjna książka
renomowanego
autora na temat
wychowania
i dyscypliny*



WYCHOWANIE
**BEZ NAGRÓD
I KAR**

Rodzicielstwo
bezwarunkowe

Ni

Alfie Kohn

WYCHOWANIE

**BEZ NAGRÓD
I KAR**

Rodzicielstwo
bezwarunkowe

Przełożyła z języka angielskiego
Bogumiła Malarecka

O Autorze

Alfie KOHN (ur. 1957) jest amerykańskim badaczem interdyscyplinarnym, znanym ekspertem od edukacji i wychowania. Zajmuje się zagadnieniami motywacji, współpracy i długoterminowych skutków strategii wychowawczych. Prowadzi wykłady i warsztaty dla instytucji, nauczycieli i rodziców.

Autor książek: *No Contest. The Case Against Competition* (1982), *Punished by Rewards* (1993), *What Does It Mean To Be Well Educated?* (2004), *The Homework Myth* (2006) oraz wielu innych, przełożonych na kilkanaście języków świata.

Kohn dał się poznać jako błyskotliwy krytyk współczesnej kultury rywalizacji, obecnej także w szkołach i przedszkolach. Wypowiada się przeciwko wszelkim formom nauczania opartymi na konkurencji, a nie współpracy. Z tego względu jest przeciwnikiem ocen w szkołach.

Podważa behawiorystyczne podejście do wychowania zorientowane na posłuszeństwo dziecka. Podkreśla, że należy wychowywać dzieci na ludzi samodzielnych, wrażliwych, ciekawych świata i gotowych nieść pomoc innym.

Jest ojcem dwojga dzieci.

www.alfiekohn.org

*O ileż cenniejsza niż wszystkie zasady tego świata
jest odrobina człowieczeństwa.*

- Jean PIAGET

Tytuł oryginału
UNCONDITIONAL PARENTING
MOVING FROM REWARDS AND PUNISHMENTS TO LOVE AND REASON

Projekt graficzny
KAROLINA TOLKA

Copyright © 2005 by Alfie Kohn
Copyright © by Wydawnictwo MiND, Podkowa Leśna 2013

ISBN 978-83-062445-39-4

WSTĘP

O satysfakcji bycia ojcem, jak i wyzwaniach, które się z tym wiążą, wiedziałem na długo przed przyjściem na świat moich dzieci. Niestety, poza tym moja wiedza była dosyć mglista. Nie miałem pojęcia, jak wyczerpujące jest to zadanie. Nie przeczuwałem, że człowiek czasami czuje skrajną bezradność, innym razem zaś mobilizuje w sobie jeszcze resztkę sił, kiedy wydaje mu się, że jest już u kresu.

Z czasem zdałem sobie sprawę, że ćwiczenia głębokiego oddechu przerabiane przez matki w szkole rodzenia profitują długo po pierwszym krzyku noworodka. Na własnej skórze doświadczyłem, jak głośno dzieci potrafią krzyczeć choćby z powodu złego kształtu makaronu podanego na obiad.

Wielką ulgę przyniosła mi jednak świadomość, że wszystkie dzieci zachowują się tak samo. Jeszcze większą, że ich rodzice także przyłapują się czasami na wątpliwościach, czy cały ich wysiłek wychowawczy nie idzie na marne.

No cóż, wychowanie dzieci to nie zajęcie dla mięczaków. Moja żona mówi, że jest to najlepszy test umiejętności radzenia sobie z bałaganem i nieprzewidywalnymi wydarzeniami – egzamin, do którego nie można się przygotować i którego rezultaty nie zawsze podnoszą na duchu. Fizyka kwantowa? Neurochirurgia? Kiedy ktoś mówi, że są łatwe, możemy pokiwać głową: no tak, w końcu to nie wychowywanie dziecka...

Kłopoty rodziców biorą się między innymi stąd, że całą swoją energię kierują na przezwyciężanie oporu dzieci i zmuszanie ich, by robiły to, co im się każe. Jeżeli nie są dość przezorni, szybko staje się to ich podstawowym celem. Niestety, bardzo łatwo zamienić się w rodzica, który ponad wszystko ceni sobie potulność i posłuszeństwo swoich dzieci.

Kilka lat temu, podróżując na jakiś wykład, siedziałem w samolocie, który właśnie wylądował i kołował na lotnisku. Kiedy zbierałem bagaże, jeden z moich przypadkowych współtowarzyszy podróży pochylił się nad rzędem siedzeń przed nami i pogratulował siedzącej tam parze młodych ludzi: „Państwa synek był taki dobry podczas całego lotu!”

Zastanówmy się przez chwilę nad tym zdaniem. Słowo „dobry” często niesie w sobie treść moralną: może być synonimem takich określeń, jak „etyczny”, „honorowy” czy „współczujący”. Jednakże w odniesieniu do dziecka znaczy ono niewiele więcej niż: „spokojne” albo „nie weszło mi na głowę”. W tamtym momencie, w kołującym samolocie, uświadomiłem sobie, że to jest właśnie to, czego zazwyczaj oczekujemy od dzieci: nie żeby były empatyczne, pomysłowe albo ciekawe świata, ale żeby dobrze się zachowywały. Dobre dziecko – od niemowlęctwa po dojrzewanie – nie sprawia zbyt wielu kłopotów dorosłym.

Od kilkadziesiątu lat poglądy na kwestie wychowawcze zaczynają ulegać zmianie. Kiedyś dzieci były rutynowo poddawane karom cielesnym, teraz stosuje się raczej karę odosobnienia czasowego (*time-out*) albo nagradza, kiedy są posłuszne. Ale nie mylmy nowych środków z nowymi celami. Cele pozostały te same: nadal chodzi o kontrolę nad dzieckiem, nawet jeżeli zaprowadzamy ją bardziej nowoczesnymi metodami. Jest tak nie dlatego, że nie troszczymy się o nasze dzieci. Chodzi raczej

o to, że przytłacza nas zwykła codzienność, kiedy obowiązek wieczornego kładzenia dziecka do łóżka i rannego budzenia, niezbędna kąpiel czy spacer sprawiają, że trudno nabrać dystansu i nadać właściwą miarę temu, co robimy.

Nasze starania, by dzieci robiły to, co im nakazujemy, mogą kolidować z innymi, ambitniejszymi celami, jakie im wytyczamy. Dzisiejszego popołudnia skupiamy się głównie na tym, by nasz synek nie podniósł wrzasku w supermarkecie i pogodził się z faktem, że nie dostanie wielkiego kolorowego pudła słodyczy. Ale warto zastanowić się nad tym nieco głębiej. W warsztatach, które prowadzę dla rodziców, lubię zaczynać wykład od następujących pytań.

- Jakie dalekosiężne cele stawiacie sobie w odniesieniu do waszych dzieci?
- Jak chcielibyście je wykształcić?
- Jakimi chcielibyście je widzieć, kiedy dorosną?

Pomyślmy chwilę nad odpowiedzią. Kiedy proszę kolejne grupy rodziców o zdefiniowanie najważniejszych dalekosiężnych celów dla ich dzieci, jak kraj długi i szeroki słyszę niezwykle podobne odpowiedzi. Oto typowa lista przedstawiona przez jedną z losowych grup. Dzieci mają być:

- Szczęśliwe
- Zrównoważone
- Niezależne
- Spełnione
- Kreatywne
- Życzliwe
- Operatywne
- Samodzielne
- Uprzejme
- Dociekliwe
- Czułe
- Pewne siebie

A teraz zastanówmy się, jak się ma ten zbiór przymiotników do naszego postępowania wobec dzieci? Czy to, co robimy, jest spójne z tym, czego naprawdę chcemy? Czy moje codzienne zabiegi mogą pomóc dzieciom wyrosnąć na takich ludzi, na jakich chciałbym, żeby wyrosły? Czy to, co właśnie powiedziałem dziecku w supermarkecie, przyczyni się choćby w najmniejszym stopniu do tego, by było szczęśliwe, zrównoważone, niezależne, spełnione i tak dalej – czy raczej wręcz przeciwnie? W takim razie jak powinienem reagować?

Jeżeli nie mamy ochoty, zdrowia albo czasu, by wyobrazić sobie, jakie będą nasze dzieci za dziesięć czy dwadzieścia lat, to pomyślmy przynajmniej o tym, co liczy się dla nas dzisiaj. Oto wcisnęliśmy się w jakiś kąt na przyjęciu urodzinowym naszego dziecka albo stoimy na szkolnym korytarzu. Tuż za rogiem przystanąło dwoje innych rodziców, którzy nie zdają sobie sprawy z naszej obecności. Słyszymy, że rozmawiają o... naszym dziecku! Skupmy się na moment i pomyślmy o słowie czy zdaniu, które bardzo bylibyśmy radzi usłyszeć. Przypuszczam – i mam nadzieję – że nie byłoby to coś w rodzaju: „O rany, to dziecko robi wszystko, co mu się każe, i ani piśnie!”

I tu postawmy sobie zasadnicze pytanie: czy przypadkiem nie postępujemy tak, jakby właśnie na tym nam najbardziej zależało¹?

Prawie ćwierć wieku temu psycholożka społeczna Elizabeth Cagan po zrecenzowaniu mnóstwa książek o nowoczesnych metodach wychowawczych uznała, że większość z nich „powszechnie akceptuje prawa rodzicielskie”, podczas gdy niewiele miejsca poświęca się „poważnej refleksji nad potrzebami, uczuciami czy rozwojem dziecka”². W świetle powyższego, dodaje,

słusznie można dojść do wniosku, że pragnienia rodziców „są automatycznie zasadne”, a dyskutować należy jedynie o tym, jak sprawić, by dzieci robiły to, co im się każe.

Od tamtej pory zmieniło się, niestety, niewiele. Każdego roku ukazują się kilkaset książek o wychowaniu, a większość z nich wypełniają rady o tym, jak dostosować dzieci do oczekiwań dorosłych, co robić, by były grzeczne, i jakiej poddawać je tresurze, jakby były jakimiś zwierzakami domowymi. Wiele z tych poradników zachęca radośnie do stawiania czoła dzieciakom i dzierżenia nad nimi władzy. Co więcej, niektóre jednoznacznie nakazują wyzbycie się wszelkich wątpliwości i skrupułów, jakie moglibyśmy mieć przy tego rodzaju postępowaniu. To podejście ujawnia się już w samych tytułach: *Don't Be Afraid to Discipline* (Nie obawiaj się dyscypliny), *Parents in Charge* (Rodzice biorą sprawy w swoje ręce), *Taking Charge* (Brać sprawy w swoje ręce), *Back in Control* (Przywrócić kontrolę), *Disciplining Your Preschooler and Feeling Good About It* (Dyscyplinowanie przedszkolaka bez wyrzutów sumienia), *Cause I'm the Mommy, That's Why* (Dlatego, że jestem mamą), *Guilt-Free Parenting* (Rodzice bez poczucia winy), *The Answer Is No!* (Odpowiedź brzmi: Nie!) i tak dalej i tak dalej.

Jedne z tych książek stają w obronie staroświeckich metod i wartości („Ojciec złoł ci skórę, niech no tylko wróci z pracy!”), inne opowiadają się za nowomodnymi technikami („Wspaniale! Wysiusiałeś się do nocniczka, kochanie! Masz za to naklejkę!”). Jednak ani jedno, ani drugie nie dają nam pewności, że nasze wymagania w stosunku do dzieci są rozsądne – ani że na dłuższą metę przyniosą im korzyść.

Poza tym wiele z tych książek oferuje rozwiązania, które okazują się, powiedzmy, nieszczególnie użyteczne, chociaż

ubarwia się je miejscami śmiesznymi, nierealnymi dialogami, mającymi rzekomo zademonstrować ich działanie³. Czytanie o metodach wychowawczych, które w praktyce okazują się nieskuteczne, wywołuje irytację i tylko irytację, natomiast prawdziwe niebezpieczeństwo pojawia się wtedy, kiedy autorzy tych książek nie zadają sobie trudu, by zapytać, co rozumiemy pod pojęciem „skuteczne”. Jeżeli nie przemyślimy własnych nadrzędnych celów, przegramy z praktykami ukierunkowanymi na całkowite posłuszeństwo dziecka. Inaczej mówiąc, skupimy się jedynie na tym, co jest najważniejsze dla nas, a nie na tym, czego potrzebują dzieci.

Kolejna sprawa dotycząca poradników wychowawczych: większość z nich proponuje porady oparte jedynie na przemyśleniach autorów, z odpowiednim doбором anegdot potwierdzających ich punkt widzenia. Rzadko zdarzają się odniesienia do stosownych badań naukowych. Bywa też, że wyrabiamy sobie pogląd po przeczytaniu jednego tytułu z półki z tematyką dziecięcą z najbliższej księgarni, nie zdając sobie sprawy, że istnieje cały wachlarz opracowań proponujących inne metody wychowawcze.

Niektórzy czytelnicy są sceptyczni wobec zapewnień, że „badania potwierdzają” prawdziwość takiej lub innej metody. Ich sceptycyzm jest zrozumiały. Rzecz w tym, że ludzie, którzy lubią podierać się takimi sformułowaniami, często nie precyzują, o jakie badania chodzi, a tym bardziej, jak były prowadzone ani jakie znaczenie mają przytaczane wyniki. Znowż zatem pojawia się to samo natrętne pytanie: jeżeli jakiś badacz twierdzi, że metoda x ma być skuteczniejsza od metody y, to natychmiast mam ochotę spytać: co pan właściwie rozumie pod pojęciem „skuteczniejsza”? Czy dzieci wychowywane według

tej metody będą w przyszłości ludźmi lepiej sytuowanymi? Czy będą bardziej uwzględniać wpływ swojego działania na innych? A może metoda x nauczy ich bezmyślnego posłuszeństwa?

Niektórzy eksperci, podobnie jak niektórzy rodzice, wydają się zainteresowani wyłącznie tą ostatnią kwestią. Według nich, skuteczna strategia to taka, która sprowadza się do podporządkowania dziecka osobom dorosłym. Ale to strategia, która nie uwzględnia uczuć dziecka ani tego, jak postrzega ono osoby tłamszące jego wolę. Czy o to chodzi w całym procesie wychowawczym? Istnieją dowody, że wystarczy przyjąć subtelniejsze kryteria, a wszelkie techniki dyscyplinujące okażą się skuteczne tylko z pozoru. Powinno się też wiedzieć, że dziecięce obietnice typu „Już będę grzeczny”, choć składane ochoczo i w dobrej wierze, są płytkie, a wymuszona uległość nie trwa długo⁴.

To jeszcze nie koniec historii. Problem polega nie tylko na tym, co tracimy, oceniając nasze strategie pod kątem skuteczności w wychowaniu posłusznego potomka. Chodzi o to, że posłuszeństwo samo w sobie nie zawsze jest pożądane. Istnieje coś takiego, jak bycie zbyt dobrze wychowanym. W Waszyngtonie grupa badaczy śledziła rozwój dzieci w wieku od roku do pięciu lat i doszła do wniosku, że „podporządkowaniu czasami towarzyszyło nieprzystosowanie”⁵. Na odwrót, „pewien poziom oporu wobec władzy rodzicielskiej” może być „sygnałem pozytywnym”. Inna para psychologów opisała w „Journal of Abnormal Child Psychology” niepokojący fenomen, nazwany przez nich „kompulsywną uległością”, a zachodzący wówczas, kiedy strach dzieci przed rodzicami prowadzi do tego, że robią wszystko, co im się każe – natychmiast i w sposób bezmyślny⁶. Także wielu terapeutów komentuje emocjonalne konsekwencje nadmiernej potrzeby zadowalania i słuchania dorosłych. Tera-

peuci wskazują, że nad wyraz dobrze wychowane dzieci robią to, co rodzice chcą, by robiły, i stają się takimi, jakimi rodzice chcą, by się stały, ale często kosztem zatracenia własnej osobowości⁷.

Dzieci, wobec których stosuje się surową dyscyplinę, nie zawsze bywają wewnętrznie zdyscyplinowane. Niekoniecznie lepiej jest mieć dzieci, które przejmują nasze pragnienia i wartości do tego stopnia, że robią to, co chcemy, nawet pod naszą nieobecność. Próba zaszczepienia samodyscypliny może być równoznaczna ze zdalnym sterowaniem dzieckiem, które nie jest niczym innym jak bardziej rozbudowaną wersją posłuszeństwa. Poza tym zachodzi duża różnica między dzieckiem, które robi coś, ponieważ wierzy, że jest to słuszne, a takim, które robi to pod przymusem. Nabycie przekonania, że dziecko przyswaja sobie nasze wartości, to nie to samo, co pomaganie mu w dopracowaniu się własnych. Internalizacja rodzicielskich wartości nie musi prowadzić do celu, jakim jest wychowanie dziecka na samodzielnie myślącego człowieka⁸.

Jestem przekonany, że większość z nas naprawdę chce, by nasze dzieci myślały samodzielnie, były asertywne i odważne moralnie... kiedy są wśród swoich przyjaciół. Mamy nadzieję, że stawiają czoło łobuzom i oprą się presji rówieśników, zwłaszcza jeśli chodzi o seks i narkotyki. Ale jeśli tego chcemy, musimy wychować je tak, by wyrobiło sobie własne zdanie o różnych sprawach. Inaczej mówiąc: jeżeli naszym priorytetem jest wymuszanie posłuszeństwa w obrębie czterech ścian naszego domu, to możemy się spodziewać, że nasze uległe dzieci w przyszłości podporządkują się komuś innemu - poza domem. Barbara Coloroso zauważa, że często zdarzało jej się wysłuchiwać narzekań rodziców nastolatków w rodzaju: „Był takim dobrym dzieckiem, tak dobrze wychowanym i ułożonym. Ale popatrz na niego teraz!”. Tu Coloroso odpowiada:

Zawsze ubierał się według waszego gustu. Zachowywał się w sposób, w jaki, według was, miał się zachowywać. Mówił to, co, według was, powinien mówić. Zawsze słuchał kogoś, kto mu nakazywał, co ma robić. On się nie zmienił. On wciąż słucha kogoś, kto mu mówi, jak ma postępować. Kłopot w tym, że teraz to nie jesteście wy, rodzice, ale jego rówieśnicy⁹.

Im więcej rozmyślamy nad naszymi dalekosiężnymi celami wychowawczymi, tym bardziej wszystko zaczyna się komplikować. Każdy cel może okazać się niewarty wysiłku, jeżeli rozważamy go pojedynczo: niewiele wartości znaczy w życiu tak wiele, że aby je osiągnąć, warto poświęcić wszystko inne. Może mądrzej byłoby pomóc naszemu dziecku znaleźć złoty środek między przeciwnymi parami wartości, tak aby wyrosło na człowieka samodzielnego, ale także troskliwego wobec innych czy pewnego siebie, a mimo to skłonnego wytyczać sobie pewne granice. Podobnie niektórzy rodzice mogą się upierać przy tym, że to samo, co dla nich liczy się najbardziej, pomoże ich dzieciom określić i osiągnąć własne cele. Owszem, może tak się zdarzyć, ale musimy być przygotowani także na ewentualność, że dzieci dokonają własnych wyborów i opowiedzą się za innymi wartościami niż nasze.

Rozważania o celach na przyszłość mogą nas prowadzić w przeróżnych kierunkach, ale chcę podkreślić, że cokolwiek byśmy o nich myśleli, powinniśmy myśleć wiele. Powinny one być naszym kamieniem probierczym, choćby tylko po to, byśmy nie ulegli pokusie robienia wszystkiego, co zapewni nam święty spokój. Jako ojciec dwojga dzieci jestem doskonale obeznany

z frustracją i wyzwaniem, które wiążą się z rodzicielstwem. Bywają chwile, kiedy moje najlepsze strategie biorą w łeb, a cierpliwość wyczerpuje się i wtedy chcę jedynie, aby moje dzieci robiły to, co im każę. Trudno skupiać uwagę na wzniosłych celach, gdy jedno z nich drze się wniebogłosy na obiedzie w restauracji. Czasami trudno mi nawet pamiętać o tym, kim jestem albo kim chciałbym być, bo pochłania mnie wir nerwowego dnia i czuję przyływ niezbyt szlachetnych impulsów. Jest mi trudno, niemniej wszystko to jest warte zachodu.

Niektórzy ludzie racjonalizują swoje postępowanie przez odrzucenie bardziej znaczących celów, takich jak bycie dobrym człowiekiem albo wychowanie dziecka na dobrego człowieka. Nazywają je idealistycznymi. Ale bez ideałów niewiele jesteśmy warci. Ideały nie zawsze są niepraktyczne. Są równie praktyczne jak racje moralne, dla których ustalamy dziecku dalekosiężne cele i zastanawiamy się nad tym, czego ono potrzebuje, a nie tylko nad tym, czego od niego żądamy.

W niniejszej książce będę mówił o tym, dlaczego widzę sens w odejściu od zwykle stosowanych strategii wychowawczych. Naszym priorytetem powinno być pytanie: na jakich ludzi wyrosną nasze dzieci? Czy mają akceptować świat takim, jaki jest, czy też starać się go ulepszać?

Jest to podejście wywrotowe. Wywraca bowiem na nice konwencjonalne poglądy na temat wychowania dzieci i rzuca wyzwanie krótkowzrocznym dążeniom rodziców. W niektórych wypadkach może także podważać przekonanie o słuszności naszych dotychczasowych działań albo nawet słuszności tego, co zrobiono dla nas w czasach naszego dzieciństwa.

Temat tej książki nie sprowadza się tylko do dyscypliny, ale szerzej do sposobów postępowania z dziećmi i tego, co o nich

myślimy i co do nich czujemy. Jej zamierzeniem jest pomóc nam, rodzicom, zaufać swoim najlepszym instynktom i – po tym jak ubraliśmy nasze pociechy w piżamy, a odgłosy kłócących się bliźniaków nareszcie przycichły, my zaś skończyliśmy ze zmywaniem i sprzątaniami – utwierdzić się w przekonaniu, co tak naprawdę liczy się w życiu. Ta książka namawia do ponownego rozważenia naszych podstawowych przekonań o relacjach między rodzicami i dziećmi.

Co najważniejsze, proponuję praktyczne rozwiązania alternatywne dla metod, które mają sprawić, by nasze dzieci dobrze się sprawowały albo osiągały sukcesy. Wierzę, że mogą one pomóc im wyrosnąć na naprawdę dobrych ludzi.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WYCHOWANIE WARUNKOWE

Czasami znajduję pocieszenie w myśli, że wbrew wszelkim błędom, jakie popełniłem i jeszcze popełnię jako rodzic, moje dzieci wyrosną na wartościowych ludzi z tej jednej przyczyny, że naprawdę je kocham. A miłość ponoć leczy wszystkie rany. Wszystko, czego potrzebujemy, to miłość. Miłość oznacza, że nie musisz przeproszać za to, że rano w kuchni poniosły cię nerwy.

Ten pogrzipiający pogląd opiera się na idei, że istnieje coś takiego, co nazywa się miłością rodzicielską, i jest najważniejszym wianem, w jakie możemy wyposażyć nasze dzieci. Ale może idea ta to tylko zgubne uproszczenie? Czy nie istnieją różne sposoby kochania dzieci? Czy wszystkie są jednakowo pożądane? Psychoanalytyczka Alice Miller zauważyła swego czasu, że można kochać dziecko „bezgranicznie, jednak nie tak, jak ono tego potrzebuje”. Jeśli Miller ma rację, istotną sprawą jest nie to, czy – lub jak bardzo – kochamy nasze dzieci, ale jak je kochamy.

Kiedy się to zrozumie, całkiem szybko można sporządzić listę różnych rodzajów miłości rodzicielskiej. Niniejsza książka bierze na warsztat rozróżnienie między dwiema: kochaniem dzieci za to, co robią (miłość warunkowa), i kochaniem ich za to, że są (miłość bezwarunkowa). Pierwszy rodzaj miłości jest warunkowy, to znaczy, że dzieci muszą sobie na nią

zasłużyć, postępując w sposób, który my, dorośli, uważamy za odpowiedni, albo zaspokajając nasze oczekiwania. Druga miłość nie stawia warunków: nie zależy od tego, jak dziecko postępuje, czy jest udane, odnosi sukcesy ani czy dobrze się sprawuje.

Chcę bronić idei wychowania bezwarunkowego z dwóch powodów: moralnych i praktycznych. Pierwszy głosi po prostu tyle, że dziecko nie powinno pracować na nasze pochwały. Mamy je kochać, jak mówi moja przyjaciółka Deborah, bez żadnego powodu. Ponadto liczy się nie tylko nasze przekonanie, że kochamy je bezwarunkowo – ważne jest także, żeby ono to odczuwało.

Z praktycznego punktu widzenia możemy stwierdzić, że miłość bezwarunkowa przynosi pozytywne skutki. Jest nie tylko słuszna z moralnego punktu widzenia, ale także mądra. Dzieci chcą być kochane takie, jakie są, i za to, że są. Taka miłość pozwala im akceptować siebie w każdej sytuacji, w powodzeniu i niepowodzeniu. Łatwiej akceptują wtedy także innych ludzi. Krótko mówiąc, miłość, która nie stawia warunków, jest tym, czego dzieci potrzebują do pełnego rozwoju.

A jednak my, rodzice, często skłaniamy się do obwarowywania naszej aprobaty różnymi warunkami. Popycha nas do tego nie tylko wpojona przez otoczenie wiara w słuszność takiego wychowania, ale także sposób, w jaki sami byliśmy wychowani. Można powiedzieć, że jesteśmy uwarunkowani do stawiania warunków. W istocie bezwarunkowa akceptacja wydaje się występować rzadko nawet jako idea: wyszukiwanie w Internecie wariantów słowa „bezw warunkowy” prowadzi głównie na strony poświęcone religii albo zwierzętom domowym. Najwyraźniej trudno jest wielu ludziom wyobrazić sobie taką miłość do drugiego człowieka, która potrafi dawać, nie oczekując zapłaty.

Przez zapłatę, jeśli chodzi o dzieci, niektórzy rozumieją dobre zachowanie, inni – osiągnięcia i sukcesy. Ten rozdział i trzy następne poświęcę na zgłębienie kwestii wychowawczych, a zwłaszcza sposobu, w jaki wiele popularnych strategii dyscyplinowania powoduje, że dzieci czują, iż są akceptowane tylko wówczas, kiedy postępują zgodnie z wymaganiami rodziców. W rozdziale piątym przedstawię punkt widzenia dzieci. W drugiej połowie książki podam konkretne propozycje pozwalające zrezygnować z tego podejścia i wskażę coś, co jest bliższe miłości, jakiej dzieci potrzebują. Najpierw jednak chciałbym przyjrzeć się dokładniej idei wychowania warunkowego: jakie założenia leżą u jego podłoża i jakie ma ono skutki dla rozwoju dziecka.

Dwie metody wychowawcze

Kłopoty z moją córką Abigail zaczęły się kilka miesięcy po jej czwartych urodzinach, co miało zapewne związek z pojawieniem się w domu drugiego dziecka. Zrobiła się wówczas niemiła, bardziej oporna wobec naszych próśb i wymagań, reagowała na wszystko złością i tupaniem. Zwykła codzienność przerozdziła się w próbę sił. Pamiętam, że pewnego wieczoru obiecała wziąć kąpiel zaraz po kolacji, jednak nie zrobiła tego, a kiedy przypomnieliśmy o obietnicy, wrzasnęła okropnie i rozbudziła ledwie co uśpionego braciszka. Na prośbę, by była ciszej, odpowiedziała kolejnym wrzaskiem.

Pytam zatem: czy powinniśmy wtedy jak co wieczór przytulić ją i poczytać książeczkę? Wychowanie warunkowe powie: O, nie! Podejmując zwykłe, miłe sercu czynności, w pewnym sensie nagradzamy córkę za niedopuszczalne zachowanie.

Powinno się odstąpić od cowieczornego rytuału, dając jej do zrozumienia uprzejmie, acz stanowczo, dlaczego musi ponieść „stosowne konsekwencje”.

Taki tryb postępowania wydaje się krzepiąco znajomy większości z nas i jest spójny z radami oferowanymi przez liczne poradniki dla rodziców. Co więcej, muszą przyznać, że do pewnego stopnia miałbym satysfakcję z narzucenia swojej woli krnąbrnej czterolatce. Dając jej do zrozumienia, że nie wolno tak się zachowywać, ja, ojciec, miałbym poczucie, że potrafię się postawić. Że panuję nad sytuacją.

Jednak rodzic kierujący się miłością niestawiającą warunków powinien jak gdyby nigdy nic przytulić dziecko na dobranoc i poczytać mu do snu jak co wieczór. Co wcale nie znaczy, że należy zignorować cały incydent. Wychowanie, w którym nie stawia się warunków, nie jest jednoznaczne z przyzwoleniem na to, by dzieci robiły wszystko, na co mają ochotę. Kiedy jest już po burzy, trzeba wspólnie z dzieckiem zastanowić się, co ją wywołało. Tak właśnie zrobiliśmy z Abigail po przeczytaniu paru stron książki. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że lekcja, jakiej chcemy udzielić, zostanie zapamiętana, gdy dziecko będzie wiedziało, że nasza miłość jest stała bez względu na jego zachowanie.

Każdy z tych dwóch sposobów wychowania opiera się na swoistym zestawie przekonań dotyczących psychologii dzieci i natury ludzkiej. Zacznijmy od tego, że podejście warunkowe wiąże się ściśle z kierunkiem psychologicznym zwanym behawioryzmem, który jest powszechnie kojarzony z nieżyjącym już Burrusem F. Skinnerem. Dyscyplinę tę charakteryzuje koncentracja na zachowaniu ludzi, z pominięciem tego, co dzieje się w ich uczuciach i myślach. Wszystko, co behawioryzm mówi o człowieku, sprowadza się do tego, co widać i co można zmie-

rzyć eksperymentalnie. Ponieważ nie da się zobaczyć ludzkich pragnień ani strachu, trzeba skoncentrować się tylko na tym, jak przejawiają się one w zewnętrznym zachowaniu.

Ponadto behawioryzm zakłada, że wszystkie zachowania powstają i ustają, pogłębiają się i spływają jedynie w reakcji na bodźce. Behawioryści uważają także, że każde nasze działanie można wytłumaczyć tym, czy przynosi nam jakąś nagrodę albo prowadzi do jakiejś satysfakcji. Jeżeli dziecko jest czułe dla swoich rodziców albo dzieli się deserem z przyjacielem, to wyłącznie dlatego, że takie postępowanie spotykało się w przeszłości z czyjąś miłą reakcją lub nagrodą.

W skrócie: nasze działania zostają wyjaśnione przez oddziaływanie zewnętrzne, na przykład fakt, że ktoś został wcześniej nagrodzony lub ukarany za zrobienie czegoś. A człowiek jest po prostu sumą swojego działania. Nawet ci, którzy nigdy nie czytali żadnej książki B. F. Skinnera, wydają się przyklaskiwać jego ideom. Kiedy rodzice i nauczyciele ciągle mówią o „zachowaniu dziecka”, można by pomyśleć, że składa się ono wyłącznie z „zachowania”. Nieważna jest jego osobowość ani to, co myśli, czuje lub czego potrzebuje. Nieważne są motywy jego postępowania i wartości, którymi się kieruje – ważne jest jedynie, by się „zachowywało”. To oczywiście stanowi zachętę dla technik dyscyplinujących, które za jedyny cel stawiają sobie wymuszenie na dzieciach określonego działania lub zaprzestania określonych działań.

Behawiorystyczne podejście prezentują, na przykład, rodzice, którzy wymuszają na dziecku mówienie słowa „przepraszam”. Gdy ono kogoś urazi, mówią: „Nie powiesz, że jest ci przykro?”. Czy zakładają, że samo powiedzenie „Przepraszam” wiąże się z poczuciem skruchy, mimo wszelkich dowodów świadczących o czymś przeciwnym? A może, co gorsza, wcale nie dbają o to,

czy dziecku jest przykro, ponieważ szczerłość jest dla nich nieistotna, liczy się zaś tylko fakt wypowiedzenia stosownej formułki? Na ogół takie wymuszone przeprosiny uczą dzieci mówienia rzeczy, których nie zamierzają mówić, to znaczy kłamstwa.

Nie jest to jakaś epizodyczna praktyka rodzicielska, którą wystarczy zmienić. To jeden z wielu możliwych przykładów sposobu myślenia wyznawców idei Skinnera: przykładania wagi jedynie do zachowania. Sposobu myślenia, który zawęża nasze rozumienie dzieci i wypacza sposób postępowania z nimi. Widzimy to także w programach, których ideą jest wytrenowanie małych dzieci, by spały we własnym łóżeczku albo jak najszybciej zaczęły korzystać z nocniczka. Autorzy takich programów nie wnikają w przyczyny, dla których dziecko zostawione samo sobie płacze. To może być strach przed ciemnością, nadmierne zmęczenie, głód czy coś jeszcze innego. Podobnie nikt nie pyta o przyczynę, dla której maluch wzbrania się przed siusianiem w toalecie. Eksperci, którzy przedstawiają nam recepty na „uczenie” dzieci krok po kroku spania w oddzielnym pokoju lub namawiają do nagradzania medalami, m&msami czy chwaleń za niesiusianie w pampersy, nie skupiają się na myśleniu, uczuciach i intencjach dziecka, które stanowią źródło jego zachowań. Skupiają się na samym zachowaniu. W tym miejscu pozwalam sobie dać pewną praktyczną radę: wartość książek o wychowaniu jest odwrotnie proporcjonalna do częstości występowania w niej słowa „zachowanie”.

Wróćmy do Abigail. Wychowanie warunkowe zakłada, że w sytuacji, jaką opisałem, poczytanie jej bajki na dobranoc lub jakakolwiek inna deklaracja miłości rodzicielskiej może